

Przegląd amerykański (XIII)

Jubileusz „Chronicles”, czyli zwycięstwo Tyrmanda

Jacek Koronacki

Krótko o Ameryce i o „dysekononii skali”

Tego lata mija 25 lat odkąd ukazał się pierwszy numer „Chronicles”, miesięcznika paleokonserwatywnego, a może raczej reakcyjnego lub postkonserwatywnego, ponieważ nic co w życiu społecznym dziś dominuje nie jest warte zachowania dla przyszłych pokoleń. W poprzednich odcinkach tego przeglądu często już cytowałem autorów związanych z miesięcznikiem. Niech zamieszczone niżej *resumé* kilku ostatnich numerów „Chronicles” – z okazji jubileuszu czasopisma szersze niż zwykle – będzie kolejnym świadectwem doniosłości roli pełnionej przez jego redaktorów i współpracowników w opisanii współczesnej Ameryki.

Zanim wszakże zacznę swoje *resumé* konieczne jest przypomnienie, iż faktycznym założycielem i redaktorem naczelnym czasopisma (od pierwszego numeru do swojej śmierci w roku 1985) był Leopold Tyrmand. Zaproszony przez milionera Johna Howarda do współpracy nad tworzeniem konserwatywnego Instytutu Rockfordzkiego, namówił go do stworzenia miesięcznika, który do roku 1985 ukazywał się pod tytułem „Chronicles of Culture”. Howard był pewny, że periodyk się na rynku nie utrzyma, ale zbyt cenił Tyrmanda, by mu odmówić i zgodził się wyłożyć potrzebne pieniądze. Na szczęście się mylił!

Tyrmand, który głęboko wierzył, że „idee mają konsekwencje”, uznał za swoją misję stworzenie czasopisma kulturalnego, głównie krytyczno-litrackiego, które przekazywałoby Amerykanom opinie wyrugowane z kulturalnego obiegu przez liberalny *establishment*. Neokonserwatyści żydowskiego pochodzenia (z kręgu Normana Podhoretza) nigdy nie wybaczyli Tyrmandowi opowiedzenia się po stronie paleokonserwatyizmu, zwłaszcza zaś uznania fundamentalnej dla naszej kultury i cywilizacji roli chrześcijaństwa oraz Tyrmanda szacunku i sympatii dla tegoż. Po jego śmierci miesięcznik przejął dr Tomasz Fleming, który większy nacisk położył na zagadnienia z obszaru filozofii społecznej.

W swoich analizach, autorzy z kręgu „Chronicles” chcą wychodzić od nieuprzedzonej obserwacji konkretności. Nie jest ich winą, że to co bije w oczy, każe dziś Flemingowi, tak napisać w odpowiedzi na list czytelnika (luty 2002):

Większość ludzi [w Ameryce] nadal posyła swoje dzieci do szkół państwowych; większość uważa, że aborcja jest w pewnych warunkach dopuszczalna; większość akceptuje dra Martina Luthera Kinga jako świętego patrona Ameryki. Gdy część z nich się przebudzi, będzie już za późno. Prawdopodobnie już dziś jest zbyt późno. Prawda jest taka, że nie

istnieje żadna partia polityczna, żaden ruch, odłam, znaczący polityczny przywódca, który powiedziałby prawdę o czymkolwiek, a co dopiero zarysował program przywrócenia normalności.

*Nie jest przeto pytaniem, czy cywilizacja amerykańska upadnie, lecz **kiedy**, i co mamy zamiar czynić w tej sytuacji. Jak długo nie porzucimy fikcji, iż żyjemy jakby w dekadencjnym okresie Imperium Rzymskiego – powiedzmy w czasach Nerona lub Kaliguli – tak długo nie będziemy w stanie właściwie ocenić sytuacji. Jest tak samo pewne, że naszym światem rządzą barbarzyńcy, jak było to pewne w szóstym wieku.*

Jeszcze kilka lat temu sądziłem, że Bubba¹ ma w sobie jakąś ochotę do walki o swoje, ale Bubba ogląda walki wrestlingu oraz telewizyjny kanał Playboya, zaś jego żona egzystuje na Prozacu.

Nie wiem, co się wydarzy, ale wiem, że sposób, w jaki dziś żyjemy, oraz to, jak zareagowaliśmy na zamach z 11 września – „proszę, pozbawcie mnie [w imię bezpieczeństwa] moich swobód obywatelskich” i nadto „przysięgam nie myśleć źle o Arabach” – jest dramatyczną ilustracją, jak nisko upadliśmy. [...] Jest inną sprawą, że będąc chrześcijaninem jestem bardzo daleki od jakiegokolwiek eskapizmu.

Styczniowy numer „Chronicles” nosi tytuł „Freedom’s Last Stand”, czyli ostatnie stanowisko wolności². Profesor Donald Livingston tak w nim pisze o „dysekononii skali”:

*Adam Smith słusznie zauważył, że to nie dzięki dobroci rzeźnika, piekarza i piwowara możemy spodziewać się, iż dane nam będzie zjeść obiad, a dzięki ich zrozumieniu własnego interesu. Fryderyk Hayek dostał nagrodę Nobla za udoskonalenie argumentacji Smitha i udowodnienie, że planowe ekonomie socjalizmu i komunizmu były od początku skazane na klęskę, nie ma bowiem takiej centralnej agencji, która mogłaby osiągnąć dość wiedzy by osiągnąć to, co rynek osiąga bez planowania. **Ów znakomity wgląd w część naszego społecznego doświadczenia został przez niektórych przemieniony w doktrynę dotyczącą całości – w ideologię leseferyzmu.** A przecież, jak to dostrzegł Michał Oakeshott, program Hayeka, choć zorientowany na zapobieżenie planowaniu i zapewne lepszy od socjalizmu, sam jest planem centralizacji, który mógł przepoczwarzyć się i rzeczywiście się przemienił w kolejny nowoczesny przesąd.*

*Żeby to zrozumieć trzeba zadać pytanie, którego Hayek nie zadał – jak doszło do powstania reżimu komunistycznego i narodowo-socjalistycznego? Otóż powstały one w Europie, której porządek społeczny został zniszczony w wyniku I wojny światowej, wojny w dużej mierze zawinionej przez reżimy **liberalne**. Milton Friedman i inni wychwalają okres od Kongresu Wiedeńskiego 1814-1815 do roku 1914 jako wiek leseferyzmu i, w konsekwencji, wiek, w którym było mniej wojen niż w jakimkolwiek innym w historii nowożytnej Europy. A przecież był to wiek wojen unifikacyjnych i centralizacji, w wyniku których mniejsze podmioty polityczne były niszczone by stać się częściami wielkich państw. Był to wiek względnego pokoju jedynie jeśli pojęcie wojny ograniczyć do konfliktu między państwami dostatecznie dużymi. Jeśli natomiast uwzględnić wojny*

unifikacyjne w Niemczech i Włoszech, brazylijską wojnę przeciw secesji Sao Paulo, amerykańską wojnę przeciw secesji stanów Południa (najbardziej krwawy konflikt od wojny trzydziestoletniej), podobne wojny w innych regionach, nie wspominając o światowym imperializmie, to trzeba będzie uznać ów wiek za jeden z najbardziej krwawych w dziejach Europy [i krajów z nią związanych].

Oczywiste jest, pisze dalej Livingston, że powstałe nadmiernie wielkie liberalne reżimy nie zadowolily się rolą „nocnego stróża” państw kosmopolitycznego leseferyzmu, lecz rosły w siłę pod każdym względem³. Były ekonomicznie liberalne, ale tylko dla tych, którzy centralizowali i konsolidowali mniejsze podmioty polityczne w wielkie organizmy państwowe. Ekonomiczna wolność była małym podmiotom odbierana. Gdy owe liberalne lewiatany starły się w 1914 roku, *na polach bitew pozostawiły w ciągu czterech lat więcej trupów niż we wszystkich wojnach wcześniejszego dwustulecia. Liberalne reżimy można uznać za nieskore do wojny jedynie, gdy abstrahować od konkretnej praktyki i potraktować je jako abstrakcyjną ideę, ponieważ, co oczywiste, abstrakcje nie mogą nic uczynić. Można bez przesady powiedzieć, że XIX wiek był wiekiem wojny stuletniej przeciw małym podmiotom politycznym dowolnego typu, wojny w imię centralizacji, unifikacji i konsolidacji, po której nastala wojna osiemdziesięcioletnia XX wieku, w której stanęły przeciw sobie gigantyczne lewiatany stworzone w wieku XIX.*

Livingston przypomina, że przed centralizacją przestrzegali współczesnych im liberałów lord Acton i John C. Calhoun, *ale nikt ich nie słuchał*. Podkreśla też wagę myśli noblisty Jamesa Buchanana i jego teorii publicznego wyboru. Chodzi tu o odkrycie przez Buchanana zasady, *którą można by nazwać zasadą spontanicznego nieładu*⁴ *tworzonego nieświadomie przez scentralizowane rządy potrzebne wielkim państwom liberalnym. Rządy te mają tendencję rozrostu kosztem społeczeństwa poprzez tworzenie „dóbr publicznych”, z których korzysta ich klientela. [...] W ten sposób licząca trzysta lat przygoda z oświeceniowym liberalizmem zatoczyła pełne koło – ekonomiczna wolność może wymagać nie dalszej unifikacji, lecz podziału liberalnych lewiatanów na mniejsze podmioty polityczne, z których zniszczenia owe lewiatany powstały.* Już Hayek dostrzegał, choć poglądu tego nigdy nie rozwinął, pisze Livingston, że wolność ekonomiczna może w przyszłości lepiej być realizowana przez małe państwa. Natomiast James Buchanan opowiadał się za zawarciem w układach stowarzyszeniowych Unii Europejskiej prawa państw członkowskich do secesji.

Przechodząc do analizy bardziej szczegółowej, prof. Livingston odnotowuje nieludzki i stosunkowo niedawny rozrost miast, zanik miasteczek i zwłaszcza wsi. **Te zmiany nie były skutkiem „wolnego wyboru” lub „sił rynkowych”, lecz świadomej polityki ekonomicznej, faworyzującej „agrobiznes” i urbanizację.** *Przesłanie [amerykańskiego] Ministerstwa Rolnictwa w latach 50-tych brzmiało: rośnij albo znikaj („get big or get out”).* Livingston przeciwstawia potęgę ekonomiczną z jednej strony potędze politycznej i zaczepno-militarnej z drugiej, zauważając, że tylko ta druga wymaga państwa lewiatana. Przeciwstawia greckie miasta-państwa imperium perskiemu, Afganistan Związkowi Sowieckiemu, Wietnam Ameryce, Szwajcarię i Singapur lewiatanom współczesności. Odnotowuje też godną podkreślenia zgodność poglądów – od Platona i Arystotelesa, poprzez Akwinatę po dzień dzisiejszy – na optymalną

wielkość miasta-państwa zdolnego do samodzielnego rozkwitu kulturalnego (zwykle ocenianą na 50 do 200 tysięcy mieszkańców). **I przyznaje na koniec, że ludzie ciągle ulegają propagandzie utrzymującej, iż rozkład tradycyjnego amerykańskiego społeczeństwa jest ceną za więcej wolności.** Ponieważ jest to kłamstwo, nie wyklucza jednak, że koniec centralizacji może być bliski.

Trochę analiz szczegółowych

W tym samym numerze "Chronicles" inni autorzy poruszają kwestie pokrewne lub specyficzne zagadnienia szczegółowe związane z ekonomiczno-społecznym „dzisiaj” Ameryki i całego Zachodu. Redaktor naczelny miesięcznika przeprowadza krytykę myśli Ludwika von Misesa. Píše, że wbrew twierdzeniu tego ostatniego teoria libertariańska nie jest nauką moralnie obojętną. Mises utrzymuje, że daje naukowy opis ludzkiego działania, ale w rzeczywistości do opisu ekonomicznych prawidłowości szybko dodaje cały bagaż wierzeń, preferencji i uprzedzeń XIX-wiecznego liberalizmu – pochwałę minimalnych rządów i skrajnego indywidualizmu oraz uznanie chrześcijaństwa, tradycyjnego ładu społecznego i tradycji za naczelną przeszkodę na drodze do indywidualnej wolności. *To, co naprawdę liczyło się u Misesa, stwierdza Fleming, to pragnienie wyeliminowania wszelkich obiektywnie obowiązujących sądów o wartościach.* Krytyka Fleminga jest oryginalna⁵ przez odwoływanie się do konkretnych doświadczeń historycznych, na przykład specyficznie amerykańskich jak „fuzjonizm” Franka Meyera i innych, zapoczątkowany we wczesnym okresie istnienia dwutygodnika „National Review”. Fuzjonizm chciał łączyć libertariańską analizę pieniądza i pochwałę wolności ekonomicznej z konserwatyzmem w kwestiach społecznych, co wszakże wymagało zdaniem Fleminga *poczynienia sztucznego rozróżnienia. Jak to dobrze wie Walter Block⁶ i inni prawdziwi liberalowie, libertariańska ekonomia jest wynikiem zastosowania libertariańskiej teorii społecznej i moralnej.* Fleming przypomina żal Russella Kirka do Towarzystwa Mt. Pèlerin, że propaguje dogmatyczny liberalizm i tym samym staje przeciw chrześcijaństwu, choć w swoich szeregach ma także chrześcijan⁷. Przypomina też, że w swoich późnych latach Hayek⁸, a zatem uczeń von Misesa, doszedł do wniosku, iż wolność ekonomiczna musi być osadzona na trwalszym fundamencie niż subiektywnie pojęta wartość. *Uwięziony w gorsecie oświeceniowego racjonalizmu, Hayek nie umiał rozwiązać problemu, jaki sam przed sobą postawił, ale jego myśl reprezentuje znaczące odejście od nihilizmu XIX-wiecznego liberalizmu ku zdrowemu widzeniu rzeczywistości, dzielonemu przez tych, którzy prawdy poszukują z dala od kaprysów mody i niezależnie od działania własnych gruczołów.*

W dziedzinie badań szczegółowych, prof. Stefan Presser, prawnik, pokazuje jak amerykańskie prawo faworyzuje wielkie firmy i jak jest ciężką kulą u nogi średniego i zwłaszcza małego biznesu. Nie trzeba dodawać, że rząd federalny stara się troszczyć o mały biznes i że ma specjalną agencję, której misją jest wspomaganie tegoż. Roczny budżet agencji wynosi około 900 milionów dolarów, natomiast jej portfel pożyczkowy to około 45 miliardów dolarów. *Niestety, pisze Presser, reszta budżetu rządu federalnego, czyli reszta 3 bilionów dolarów, często działa tak, że faworyzowany jest wielki biznes.* Zacząć należy od tego, że rządowe agendy wydają rocznie około 4000 zarządzeń, których przestrzeganie bywa kosztowne, a niekiedy bardzo kosztowne. Wspomniana już agencja

ocenia, że samo wypełnianie w ciągu roku rozlicznych dokumentów wymaganych przez władze federalne średnio kosztuje mały biznes 5100 dolarów na pracownika. Zmartwiony tym rząd wydaje nowe zarządzenia, mające ulżyć ciężkiej doli drobnego przedsiębiorcy, ale nie na wiele się to zdaje. Przynajmniej trzy są tego zasadnicze, wzajemnie ze sobą powiązane przyczyny. Po pierwsze, prawo jest ustalane tak, by zadowolone były potężne grupy interesu czy *lobbies*. Drobnymi przedsiębiorcami nie mają żadnych szans by w sztuce *lobbowania* – i przekupstwa -- dorównać wielkim koncernom i korporacjom. Po drugie, *handicapem* drobnych przedsiębiorstw jest jedność pełnionych w nich funkcji właścicielskich i zarządczych. Rozdzielenie tych funkcji w dużych organizacjach oraz wytworzenie się klasy menedżerskiej ułatwia krążenie tych samych ludzi między zarządami korporacji, organizacjami specjalizującymi się w prowadzeniu *lobbingu* oraz agendami rządowymi. Znika skutkiem tego w świecie wielkiego biznesu i polityki odpowiedzialność właścicielska, zawodowa i zwykła ludzka⁹. Wielkim łatwiej zostać wykupionym przez rząd, gdy splajtują, łatwiej uzyskać zamówienie publiczne, wielcy – pozbawieni wstydu – chętniej występują o pomoc od państwa. I po trzecie, wielkim łatwiej jest przenieść koszty stosowania się do państwowych regulacji¹⁰ oraz koszty starań o rządowe pieniądze w ceny swoich produktów i usług. Ponadto mogą tymi kosztami obciążyć rzesze akcjonariuszy. A jakie lekarstwo widzi na to wszystko prof. Presser? Nieidealne, bo nic na tym świecie nie jest idealne, ale proste – by rząd pozwolił ludziom żyć, by sam zastosował się do dyrektywy Hipokratesa *primum non nocere* i by jak najrychlej uchylił tysiące swoich własnych zarządzeń i regulacji. (Na co oczywiście narazie nadziei nie ma...)¹¹

Trudno przecenić wagę innego problemu poruszonego w tym samym, styczniowym numerze „Chronicles” przez Grega Kazę, a mianowicie społeczno-cywilizacyjnych implikacji oparcia się w polityce ekonomicznej na przyznaniu absolutnego prymatu rozwojowi nowoczesnych technologii i zwłaszcza na praktycznie nowym podejściu do finansowania działalności gospodarczej, czyli na fundamentalnej zmianie tzw. struktury kredytowej. Podczas gdy ekonomia powojenna opierała się na produkcji czyli wytwarzaniu, można rzec, że nowa struktura kredytowa czyni instytucje finansowe nowymi motorami zachowań na polu gospodarki, wręcz poczynając od gospodarstwa domowego. Kaza nie ma wątpliwości, że współczesna struktura kredytowa jest zła. Ze względu na dość techniczny język artykułu ograniczę się do lapidarnego tylko zasygnalizowania problemu, dostrzegalnego przecież aż nazbyt łatwo. Najpierw diagnoza przedstawiona w anegdotycznym skrócie przez byłego prezesa Rezerwy Federalnej, Paula Volckera w roku 1999:

Los światowej ekonomii zależy dziś wyłącznie od amerykańskiego wzrostu ekonomicznego, który zależy od giełdy, która zależy od akcji 50 firm, z których połowa nigdy nie przedstawiła w swoich sprawozdaniach jakichś zysków.

Typowe zachowanie się w latach 50-tych i 60-tych amerykańskiego wykwalifikowanego robotnika przemysłowego wyglądało następująco: oszczędzał, dorabiał się szybko samochodu i wolniej własnego domu, biorąc na jego zakup pożyczkę o małym i praktycznie niezmiennym oprocentowaniu. Pewnie i bez finansowego ryzyka wchodził do klasy średniej. Dziś, podobni mu pracownicy, by móc prowadzić życie na poziomie

klasy średniej, muszą być i są permanentnie zadłużeni na niewyobrażalną 40 lat temu skalę (klasa średnia jest, jak twierdzą niektórzy analitycy, węższa, ale z drugiej strony jej poziom konsumpcji jest relatywnie bardzo wysoki – by być jej członkiem trzeba stosunkowo dużo wydawać).

Rozwój rynków finansowych, spowodowany między innymi wprowadzeniem w ostatniej dekadzie zupełnie nowych instrumentów finansowych, zmienił sposoby finansowania działalności gospodarczej. W szczególności zwiększony został popyt na akcje i inne papiery wartościowe sztucznie rozdymając ich ceny i skłaniając instytucje finansowe do nadmiernie ryzykownych transakcji oraz spekulacji. Zachowania takie, związane z nimi okresowe – niekiedy ogromne – spadki wskaźników giełdowych, nie mogą nie mieć negatywnego wpływu (i to trudnego do przewidzenia) na rzeczywistą ekonomię, czyli ekonomię produkcji, rynku pracy i cen. Co więcej, za szczególnie drastyczne błędy instytucji finansowych płacą nie one same lecz wszyscy pracujący Amerykanie, bowiem długi tych instytucji – zbyt dużych by upaść bez załamania rynku finansowego – są wykupywane przez Urząd Rezerwy Federalnej. Kończy Kaza:

Struktura kredytowa, która zniekształca rynek przez nagradzanie instytucji finansowych ich wykupywaniem w okresach kryzysu, nie jest znakiem wolnego rynku. Taka struktura podcina nie tylko wolność ekonomiczną, ale także rodzinę [...].

Napomknąłem już w tym odcinku o duchowym pokrewieństwie kręgu „Chronicles” i południowych agrariuszy (p. przyp. 3). Nic dziwnego, że w miesięczniku nierzadko można przeczytać opis (najczęściej pochwałę) lokalnego kolorytu – niekiedy już utraconego – konkretnych miejsc Ameryki. Nie mamy dość miejsca by dać temu świadectwo, wspomnę więc tylko, że na przykład zasadnicza część lutowego numeru poświęcona jest Środkowemu Zachodowi USA, zawiera opowiadanie o „norweskim” Northfield w Minnesocie, a także opowieść o polskim domu w Wisconsin, którego częstym gościem była „Madame Pilsudski”. Każdy numer drukuje krótkie szkice w formie listów z Teksasu lub innego stanu amerykańskiego Południa czy wspomnianego przed chwilą Środkowego Zachodu.

Wyrosły na gruncie paleokonserwatyzmu miesięcznik przygląda się oczywiście bacznie dzisiejszemu sztandarowemu, „koncesjonowanemu” przez opiniotwórczy establishment ruchowi konserwatywnemu, najczęściej nie zostawiając na nim suchej nitki. Tu wspomnę tylko o jednej takiej publikacji, pióra Joe Sobrana, zamieszczonej w numerze majowym. Sobran przypomina piękne karty Billa Buckleya, gdy ten zakładał „National Review”, znakomity poziom ówczesnych dysput na łamach dwutygodnika. Dla pokolenia Sobrana Buckley był [...] żyjącym awatarem Burke’a, dra Johnsona, Chestertona, Evelynna Waugh i Oakeshotta. Jednocześnie coraz większe triumfy święciła lewica – amerykańscy liberałowie. Konserwatyści, zanurzeni w politykę, poparli oczywiście Nixona w jego walce z Humphreym o fotel prezydencki w roku 1968. Ten pierwszy nie był żadnym konserwatystą, ale przynajmniej był nieporównanie mniej liberalny od tego drugiego. Nixon nie mógł zadowolić konserwatystów, ale cztery lata później musieli znowu nań głosować, gdy przeciw niemu stanął do prezydenckich wyborów „różowy” George McGovern. Zaangażowanie się konserwatystów w politykę nie przynosiło żadnych

owoców, aż w roku 1980 obudziła się amerykańska „milcząca większość” i wybrała prezydentem Ronalda Reagana, przyjaciela Buckleya i „National Review”¹². Rok 1980 był więc jak cud. Wszakże i za prezydentury Reagana niewiele zmienił się polityczny porządek USA.

Pisze słusznie Sobran: *trzeba oddać Reaganowi tę sprawiedliwość, że żaden prezydent nie mógł dokonać tego czego chcieli konserwatyści*. Demokraci w Kongresie byli zbyt silni i zbyt silny był prąd liberalny w kołach opiniotwórczych. I oto za czasów prezydentury Ronalda Reagana stało się coś niesłychanie smutnego – doszło do zredefiniowania głównego nurtu konserwatyzmu:

[Konserwatyzm] po cichu porzucił resztki nadziei na powrót do ekonomii wolnorynkowej, kultury chrześcijańskiej i ograniczonego, konstytucyjnego rządu. Zamiast tego konserwatyzm przeszedł na pozycje militarystyki i walki partyjnej [o władzę dla Republikanów].

Ma rację Sobran, gdy oskarża amerykańską prawicę o to, że właśnie z tego powodu obronę zasad zastąpiła w ostatnich latach niesmaczną walką ze skądinąd zasługującym na najsurowszą krytykę i niegodnym małżeństwem państwa Clintonów. Amerykański „koncesjonowany” konserwatyzm upadł do poziomu epatowania opinii publicznej obrzydliwościami w rodzaju małżeńskich zdrad Billa Clintona z panią Moniką Lewinski! I dopiero 11 września dał mu okazję do zajęcia się sprawami poważniejszymi, co prawda w duchu wcześniej już przyjętej opcji wojowniczości i imperialnej hegemonii USA (oraz, dodaje Sobran, reprezentowania interesów Izraela).

Trochę o religiach i postawach z nich wynikających

Z racji swojego paleokonserwatywnego charakteru, „Chronicles” opowiada się po stronie dobrze pojmowanego, tradycyjnego chrześcijaństwa. Fakt, że cywilizacyjny kryzys Ameryki jest coraz bardziej dojmujący sprawia, iż w miesięczniku częściej niż kiedyś można znaleźć artykuły dotyczące chrześcijaństwa i w szczególności amerykańskich kościołów.

Aż trzy szkice grudniowego numeru z roku 2001 mają za swój temat przewodni fakt Chrystusowego Wcielenia. Scott Richert, jeden z redaktorów „Chronicles”, przypomina naukę Św. Augustyna, by z możliwie największą mocą wskazać na centralną rolę Wcielenia w historii człowieka, w zrozumieniu jego istoty, jego relacji z resztą stworzenia oraz jego dochodzeniu do sądów etycznych. Philip Jenkins, częsty gość na łamach miesięcznika, podejmuje podobne zadanie co Richert, ale czyni to zderzając fundamentalne dla chrześcijan *A Słowo ciałem się stało* – ów skandal dla Żydów i głupstwo dla Greków – z muzułmańską reakcją na tę prawdę (uznaniem jej za straszliwą profanację), z muzułmańskim stosunkiem do świata materialnego (negatywnym) oraz z Jezusem muzułmańskiej tradycji (surowym ascetą, którego – jak to w podsumowaniu swojego wywodu napisał Jenkins – *nikt przy zdrowych zmysłach nie zaprosiłby na wesele w Kanie Galilejskiej*). Wskazuje, że obydwie religie prezentują diametralnie inne widzenie świata¹³.

Esej Jenkinsa jest właściwie przypomnieniem myśli G.K. Chestertona, dla którego Wcielenie było kluczem do zrozumienia chrześcijańskiego pojmowania człowieka. Tym samym było też kluczem do dostrzeżenia jak zasadniczo różny jest islam od chrześcijaństwa. Pisząc w swojej biografii Św. Tomasza z Akwinu o greckich elementach w teologii chrześcijańskiej, Chesterton wskazywał na wzmacnianie się z czasem pierwiastków platońskich. To z tych pierwiastków wyrastał w chrześcijaństwie idealizm przepełniony negacją wobec świata materialnego. Ale przeciwko czystym abstrakcjom idealizmu stała, jak pisał Chesterton, *ta wielka rzecz, która z definicji była nieomal przeciwieństwem abstrakcji: Wcielenie*. To ono, powtarza za Chestertonem Jenkins, przynosiło chrześcijaństwu równowagę w widzeniu różnych aspektów ludzkiego bytu, pozwalało dostrzec jego złożoność. Tej równowagi musiało zabraknąć islamowi, ponieważ odrzucił Wcielenie. Jest islam według Chestertona religią tyleż prostą i dla prostych ludzi przeznaczoną, co przede wszystkim zbudowaną na negującym świat idealizmie i stąd skłonną do fanatyzmu. Chesterton wierzył, że islam wyrósł ze wspomnianego już idealistycznego nurtu w chrześcijaństwie.

Jenkins przypomina Chestertona „Latającą gospodę” i jak ów *jeden z najznakomitszych umysłów XX wieku* nie ma zamiaru lekceważyć na pozór wyłącznie przypadkowych podobieństw między islamem i tradycją zsekularyzowanego liberalizmu. Na początku XX wieku zsekularyzowani liberałowie i niemało amerykańskich chrześcijan uległo postępowemu utopizmowi -- między innymi dzięki wprowadzeniu prohibicjonizmu człowiek miał zostać zmieniony na modłę surowo purytańską. Co ciekawe, zauważa Jenkins, liberalne chrześcijaństwo owego czasu faktycznie odrzuciło Wcielenie, Niepokalane Poczęcie oraz prawdę o Zmartwychwstaniu (do tego wątku jeszcze wrócimy). Chesterton widział w tych zjawiskach zapowiedź, jak to nazwał Jenkins, *zsekularyzowanej islamizacji* Anglii (i w konsekwencji USA, dodaje Amerykanin). *Chesterton uważał, że humanistyczna kampania na rzecz postępu, nauki i rozumu była sama rodzajem fanatyzmu o charakterze wręcz religijnym*. Dzieła urzeczywistnienia ideałów tej „religii” mieli dokonać społeczni inżynierowie. W „Latającej gospodzie” zwolennicy postępu wybrali sobie na sprzymierzeńców muzułmanów, którzy w rzeczywistości zmierzali do realizacji swego własnego celu -- aneksji Anglii. *Jedną z najbardziej interesujących postaci książki, pisze Jenkins, jest postępowy zwolennik prohibicji, lord Ivywood, który [...] opowiada się za wszystkimi modnymi prądami swego czasu, nie wyłączając wegetarianizmu i teozofii. Krótko mówiąc Ivywood jest doskonałą zapowiedzią dzisiejszego zwolennika „filozofii” New Age*. W jego rojeniach islam i chrześcijaństwo miały się zlać w jedną religię i sam nie wiedział, kiedy stał się narzędziem w rękach muzułmańskich ekspansjonistów.

Gdy Chesterton pisał swoją fantazję, Anglia miała H.G. Wellsa, Bertranda Russella i innych równie lub mniej znanych zwolenników postępu oraz wrogów chrześcijaństwa, a przyjaciół każdej innej religii i kultury. Nie miała tylko muzułmanów. Dziś, zauważa Jenkins, Zachód ma ich wszystkich – zwolenników tolerancji i wielokulturowości, na których tylko chrześcijaństwo działa jak płachta na byka, oraz ma też coraz więcej muzułmanów (co amerykańska poczta uczciła wydając na początku września 2001 roku

pierwsze znaczki o tematyce islamskiej i z arabskimi napisami). *Nie odrzucamy więc możliwości nadejścia ery Chrześcijaństwa*, kończy Jenkins.

Chestertona z oczywistych względów śmieszyła wizja świąt Bożego Narodzenia jako święta przyjaźni wszystkich ze wszystkimi, ekumenicznego festynu radości wszystkich ludzi dobrej woli – przecież znaczenie tego święta odróżnia nie tylko chrześcijan od niechrześcijan, ale jest kością niezgody wśród samych chrześcijan! W tym samym, z grudnia 2001 roku numerze „Chronicles”, Aaron Wolf (redaktor miesięcznika i historyk religii) pisze, że dziś amerykańskich chrześcijan martwi zupełne już *usunięcie Chrystusa ze święta Bożonarodzeniowego* i przeto odebranie temu świętu wszelkiego religijnego znaczenia. Ale przecież, dodaje Wolf, ***Chrystus nigdy nie był w popularnej kulturze amerykańskiej obecny, a to dlatego, że albo o Wcieleniu się mówi ale nie wyciąga z tego faktu żadnych wniosków (jak w przypadku wielu przedstawicieli ewangelikalizmu¹⁴), albo się je całkowicie odrzuca (tak jak to uczyniły „kościół liberalne”, które potem zostały nazwane unitarnymi)***. Źródła tej odmowy przyznania należnej wagi Wcieleniu mogą w rzeczywistości być przypisane amerykańskim purytanom.

Postawiony tu purytanom zarzut musi się na pierwszy rzut oka wydać skandaliczny. Bo też w istocie nieliczne purytańskie kościoły Nowej Anglii, które dochowały wierności tradycyjnemu nauczaniu, zerwały związki z „kościołami liberalnymi”, jak je same nazwały, gdy te zaczęły otwarcie głosić, iż idea Boga stającego się Człowiekiem jest irracjonalna. Gdy ich własne kolegium w Harvardzie zaczęło studentów teologii nauczać ariańskiej chrystologii, prawdziwi purytanie kolegium opuścili i założyli nowe w Andover.

Jeśli jednak przyjrzeć się historii purytanizmu dokładniej, pisze Wolf, zobaczy się, iż hodował on w sobie ziarna ewangelikalizmu i unitarianizmu. *Purytanie, którzy dotarli do brzegów Nowej Anglii w latach 30-tych i 40-tych XVII wieku, wierzyli, że dzieło reformacji zapoczątkowane przez Lutera, kościół anglikański i nawet przez Kalwina nie zostało dokończony. Uważali, że zbyt wiele było w nim wciąż elementów katolickich. Papizm trzeba było wyrugować do końca, likwidując na przykład katolickie święta, czytanie perykop i cały kalendarz liturgiczny oraz unieważniając ortodoksyjną sakramentologię i widzenie Kościoła jako mistycznego Ciała Chrystusa. Pisze Wolf:*

Sakramenty (jako źródło łaski) nie były [już] znakami współdefiniującymi Kościół, lecz stały się nowinkami dodanymi do czystego chrześcijaństwa czasów apostołskich. [...] Purytanie myśleli, że wracają do źródeł, gdy tymczasem w rzeczywistości ożywiali stare herezje, jednocześnie oddając hołd czystemu ludzkiemu rozumowi, który czytając w księdze natury i biblijnym objawieniu miał odkrywać prawdę o Bogu. [...] Oschli i surowi, purytańscy kaznodzieje nie zrozumieli lekcji o najważniejszym fakcie chrześcijaństwa – że Bóg działa poprzez to co realne i fizyczne.

Purytańskie nabożeństwa zawierają pośrednie odniesienia do Wcielenia, ale mało się w nich mówi o wadze Wcielenia w wielkim planie zbawienia [...]. Wyeliminowawszy rok liturgiczny, purytanie usunęli ów szkielet, który pozwalał nabożeństwu być skupionym wokół życia, śmierci i Zmartwychwstania wcielonego Chrystusa. Mogła przeto modlitwa

stać się abstrakcyjna, ezoteryczna, skupiona na Opatrzności, wyróżnikach prawdziwej wiary i „religijnych afektacjach”, zamiast na Zwiastowaniu, Narodzinach i Krzyżu. [...] Co się liczyło, to autentyczne nawrócenie i potem życie po Bożemu.

Według Wolfa purytańska myśl biegła dwoma strumieniami, początkowo jakby złączonymi w jedną rzekę. Jeden strumień podkreślał wagę bezpośredniego boskiego działania na serce i umysł jednostki, prowadzącego ją do radykalnego nawrócenia; drugi podkreślał wagę bezpośredniego działania ludzkiego umysłu, który wnikając w naturę rzeczy i w Pismo Święte był w stanie wypracować lub odkryć nowe prawdy teologiczne. Za Perrym Millerem Wolf uważa, że purytanie, *dla których logika była obsesją, [...] odrzucili według nich sylogistyczną logikę Arystotelesa na rzecz estetycznej logiki Petrusa Ramusa (francuskiego humanisty i platonika, który w roku 1561 nawrócił się na protestantyzm). [...] Oparta na Wcieleniu filozofia Św. Tomasza, wedle której człowiek buduje swą wiedzę przez doświadczanie realnego świata – filozofia mająca za swój fundament historyczne spotkanie ludzkości z wcielonym Chrystusem -- została zastąpiona filozofią skierowaną do człowieczego wnętrza, ku odkrywaniu idei wrodzonych, widzianych wraz z prawdami Pisma Świętego, z założeniem, że rozum prowadzony jest przez Ducha Świętego. [...] W konsekwencji, wcielenie jako rzeczywiste Wydarzenie w historii przestało mieć bezpośredni wpływ na purytańskie poszukiwanie prawdy.*

Obydwa strumienie purytańskiej myśli rozłączyły się w połowie wieku XVIII, w okresie Wielkiego Przebudzenia. Wśród kolonistów z dala od miast, zaś w miastach wśród warstw biedniejszych, wielkim powodzeniem cieszyli się pierwsi kaznodzieje ewangelikalizmu – nawołujący do nawrócenia i poświęcenia Bogu. [...] *Jankescy koloniści masowo stawali się „chrześcijanami” niezależnymi od jakiegokolwiek kościoła, gotowymi przyłączyć się do takiego, który zaoferuje im ekscytującą i odpowiadającą ich gustom modlitwę oraz dostatecznie żywą muzykę.* Skomplikowana myśl rodem z Ramusa czy purytańska teologia Przymierza nie były do nawrócenia potrzebne. Takie właśnie były początki nurtów ewangelikalnych w protestantyzmie. W tym samym mniej więcej czasie część mieszczańskich elit Nowej Anglii, nadmiernie ufna w potęgę rozumu, okazała się intelektualnie przygotowana na przyjęcie socynianizmu, czy dokładniej, jak napisze Wolf, socyniańskiego liberalizmu. I tak, około dwa wieki po braciach polskich, w Ameryce pojawili się unitarianie.

Zdaniem Wolfa, mimo różnego spojrzenia na ortodoksję chrześcijańską, unitarianie i ewangelikaliści tworzą od początku XIX wieku swego rodzaju koalicję. To prawda, że w przeciwieństwie do unitarian ewangelikaliści nie odrzucają ani dogmatu o Niepokalanym Poczęciu, ani Wcielenia, ani wreszcie zbawczej mocy Ukrzyżowania i Zmartwychwstania. Ale uznając, że zbawienie człowieka przychodzi przez jednorazowe nawrócenie się jego umysłu i serca, zaś po nawróceniu pozostaje tylko moralne się doskonalenie, ewangelikalizm praktycznie odrzuca ortodoksyjną soteriologię i to wszystko o czym już wcześniej wzmiankowaliśmy w kontekście purytanizmu. Jak w unitarianizmie sens studiowania Pisma Świętego sprowadza się – pisze Wolf – do stałego odpowiadania sobie na pytanie „co uczyniłby Jezus w takiej to a takiej sytuacji?”. *Jankeska koalicja ewangelikalistów i unitarian odpowiadała na to pytanie maszerując*

przez cały wiek XIX i XX od jednej społecznej kampanii do drugiej – od abolicjonizmu, poprzez prohibicjonizm do powszechnego prawa wyborczego oraz „wojny, która skończy wszystkie wojny”. Odrzucenie mądrości wieków postawiło ich po stronie „społecznego postępu”.

W innym, stosunkowo niedawnym szkicu („Chronicles” z maja 2002 roku) Wolf odnotowuje jedno jeszcze zjawisko, które musi niepokoić, a które dotyczy głównych kościołów chrześcijańskich w Ameryce. Oto kościoły te, jakby zbyt przejęte ideą ekumenizmu, zdają się zamazywać różnice doktrynalne je dzielące. Nie ma już miejsca na przytaczanie różnych dokumentów, tekstów wspólnych modlitw i opisów wspólnych spotkań (także tego po zamachu z 11 września), ale przedstawiciele tych kościołów zapominają, że C.S. Lewis miał rację nie tylko wtedy, gdy mówił o chrześcijańskim jądrze wiary wspólnym wszystkim chrześcijanom, ale także wtedy, gdy zwracał uwagę, iż nie ma kogoś takiego jak „po prostu chrześcijanin”, ponieważ każdy chrześcijanin jest, był i będzie członkiem jakiegoś konkretnego kościoła ... albo nie będzie chrześcijaninem (w oryginale chodzi o rozróżnienie między *mere Christianity* oraz *mere Christian*). Taki ekumenizm prowadzi do uwiądnięcia wiary – do wiary „bez nerwu”, by użyć określenia Wolfa – i czyni kościoły jeszcze jednym narzędziem homogenizacji, a więc i spłylenia kultury¹⁵. Nota bene, łatwo dziś widocznym w Ameryce, choć na szczęście ciągle marginesowym, przejawem takiej homogenizacji jest mnożenie się tzw. kościołów „pozawyznaniowych” (w oryginale *nondenominational churches*), o czym Wolf także słusznie wspomina. Innym jej przejawem, już niestety powszechnym, jest upodobnianie się do siebie nabożeństw w kościołach różnych wyznań (np. wszędzie podobna muzyka, zwykle lekko rockowa, coraz więcej kościołów katolickich, w których się w czasie mszy świętej w ogóle nie klęka).

P.S. Właśnie dotarł do mnie (niestety z większym opóźnieniem niż zwykle) czerwcowy numer „Chronicles” z esejami opatrzonymi wspólnym tytułem „Zakręt w lewo w dobie Renesansu”. Numer otwiera szkic dra Fleminga, obarczającego Medyceuszy, od Cosimo Medyceusza począwszy, odpowiedzialnością za popularyzację wątków neopogańskich w kulturze. Ale więcej o tekście Fleminga i innych szkicach z czerwcowego „Chronicles” już w następnym odcinku.

¹ Bubba to popularne określenie przeciętnego Amerykanina.

² Aż prosi się, by tytuł tego numeru „Chronicles” uznać za parafrazę tytułu pierwszej z dwóch książek-manifestów „południowych agrariuszy”, czyli książki „I’ll Take My Stand” z roku 1930. Krąg redakcyjny czasopisma uznawany bywa mianowicie za trzecie pokolenie agrariuszy (do drugiego zaliczani są m.in. Richard Weaver i Melvin Bradford; p. np. P.V. Murphy, „The Rebuke of History: The Southern Agrarians and American Conservative Thought”, University of North Carolina Press, książka zrecenzowana w „Chronicles” w lutym 2002). Z pierwszym pokoleniem agrariuszy współpracowali G.K. Chesterton, H. Belloc i inni angielscy „dystrybucjoniści”. Chcąc scharakteryzować myśl pierwszych agrariuszy w najkrótszy możliwie sposób można rzec, że ich punktem wyjścia była propozycja „trzeciej drogi” typu przedkapitalistycznego, później rozwijana w poszukiwaniach „ekonomii na ludzką skalę”, przeciwnej kapitalizmowi wielkich korporacji, masowej produkcji i wielkich rządowych programów finansowania biznesu i rolnictwa. (Nieco później wybitnym orędownikiem takiej ekonomii był na kontynencie europejskim ordoliberal Wilhelm Röpke; por. VI odcinek tego przeglądu, ARCANA 4/2000.)

³ W innym szkicu, omówionym w III odcinku mojego przeglądu, Livingston uzasadniał dlaczego ideologia liberalna wymagała centralizacji (p. ARCANA 4/1999).

⁴ W odróżnieniu od „spontanicznego ładu”, tworzonego nieświadomie przez ludzi działających w imię własnego interesu.

⁵ Ponieważ w naszych czasopismach wznawiane są od czasu do czasu dyskusje nad liberalizmem, niech mi będzie wolno przypomnieć szkice w tej materii najlepsze, profesora Legutki, np. zawarte w zbiorach „Spory z kapitalizmem”, „Etyka absolutna i społeczeństwo otwarte”, „Myśli o czasach chytrych i prawdach pozornych”.

⁶ Znany ze swego radykalizmu libertarianin.

⁷ W tym tak wybitnego jak katolik i monarchista, ordoliberal Eryk von Kuehnelt-Leddihn (por. IV odcinek tego przeglądu, ARCANA 5/1999).

⁸ Jak złośliwie wspomina Fleming, już po niesławnym rozwodzie Hayeka po 23 latach trwania małżeństwa.

⁹ Dla ilustracji wystarczy przypomnieć informację z ostatnich dni: według „Financial Times” szefowie 25 wielkich amerykańskich korporacji, które właśnie zbankrutowały, zarobili w ciągu ostatnich trzech lat około 3,3 miliarda dolarów. Tyle przyniosły im ich pensje oraz zyski ze sprzedaży akcji. Najwięcej zarobili prezesi Global Crossing, Enronu i WorldCom. Jeden tylko prezes Enronu zarobił 247 milionów dolarów, a nie był to zarobek największy!

¹⁰ Choćby i w zasadzie chwalebnych, bo związanych z ochroną środowiska.

¹¹ I to wszystko o czym pisze prof. Presser dzieje się w ojczyźnie ekonomicznej wolności! O Europie zachodniej, nie mówiąc o naszym kraju strach pomyśleć.

¹² Na dodatek, „milcząca większość” dała także Republikanom władzę nad Senatem.

¹³ O fakcie tym wspomina również Richert, ale nie czyni zeń osi swego szkicu. Może warto tu jeszcze podać inną uwagę Richerta, odnoszącą się do reakcji amerykańskich konserwatywnych chrześcijan na antychrześcijański aspekt ideologii ruchu ekologicznego (taki właśnie charakter ma teza, że człowiek i przyroda to dwa zupełnie sobie obce byty). Chrześcijanie oponując przeciw stanowisku „zielonych” najczęściej mówią o „judeo-chrześcijańskim” rozumieniu związku człowieka z naturą. Wszakże wizja judaistyczna jest oczywiście istotnie różna od chrześcijańskiej – może się opierać na historii stworzenia z Księgi Rodzaju, ale nie może przecież uwzględniać tego co Bóg objawił człowiekowi przez historycznego Jezusa Chrystusa.

¹⁴ Mianem ewangelikalizmu opatruje się nurt myśli i teologii protestanckiej, kładący szczególny nacisk na jednorazowe doświadczenie nawrócenia oraz na cnotliwe życie wierzącego. Nurt ten obecny jest w różnych wyznaniach amerykańskiego protestantyzmu. Sławnymi ewangelikalistami byli w dobie religijnego tzw. Wielkiego Przebudzenia założyciele amerykańskiego kościoła metodystycznego, bracia Wesleyowie.

¹⁵ Skoro wspomnieliśmy o ekumenizmie, wypada dodać, że stanowisko autorów „Chronicles” wydaje się być tyleż jednolite co zrozumiałe. Podczas gdy katolicy taktownie milczą, protestanci i prawosławni są przeciwni ekumenizmowi rozumianemu wąsko, jako dążenie do zjednoczenia kościołów chrześcijańskich, już z tej prostej przyczyny, że zjednoczenie musiałoby oznaczać podporządkowanie się kościołów niekatolickich Rzymowi (szacunek dla Jana Pawła II nic tu pomóc nie może). Zarazem jest to stanowisko nawołujące do mądrej współpracy kościołów w zwalczaniu współczesnego neopogaństwa. Inna sprawa, że na taką współpracę wielkiej nadziei nikt nie ma – konserwatyści z reguły są do współpracy nieskorzy, inni natomiast z reguły albo przed neopogaństwem kapitulują, albo mu sprzyjają.